

Jan K. Ostrowski

Polska Akademia Umiejętności

NIEDŹWIEDŹ

(zabawa historyczno-literacka)

Dla E.W., pierwszej czytelniczki

1 grudnia 1810, sobota

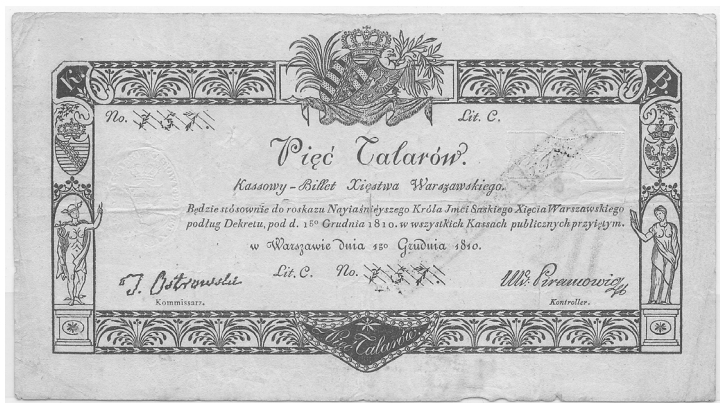
Ostatni promień słońca wystrzelił spoza frontonu kościoła Kapucynów i położył się złotą plamą na ścianie pomiędzy kominkiem a oszkloną szafą, mieszczącą nieco książek i sterty dokumentów. Z półmroku wyłonił się w ten sposób portret pana domu. Namalowany kilka lat wcześniej przez Kazimierza Wojniakowskiego, obraz ukazywał go w skromnym ciemnozielonym fraku, ale z orderami nadanymi jeszcze przez króla Poniatowskiego. Ujęcie było dziwnie podobne do wizerunków Jerzego Waszyngtona, dobrze znanych w Warszawie ze sztychów dostępnych u księgarzy. Tomasz zastanawiało to podobieństwo. Waszyngtona znał z dawnych lat, z czasu pierwszego pobytu w Paryżu, kiedy to wielokrotnie i z pewną wyższością tłumaczył przybyszowi zza oceanu zasady polskiej wolności — ułomnej, ale jednak wolności, do której osadnicy z dalekich prowincji tak tęsknili. Któż mógł wówczas przewidzieć, jak bardzo odwróci się sytuacja obydwu krajów. Kiedy Tomasz natrafił u spadkobierców Grölla na portretowy sztych dawnego przyjaciela, dał go oprawić i ustawił na kominku, tak że obydwa wizerunki można było ogarnąć jednym rzutem oka. Za każdym razem gdy to robił, nachodziło go ożywcze wspomnienie młodości, połączone z reminiscencjami gorzkich doświadczeń lat męskich. Wielokrotnie zastanawiał się, czy dobrze zrobił, odrzucając ponawiane zaproszenia Jerzego i udając, że nie zauważa powłóczyстых spojrzeń jego pięknej siostry. Racjonalnej odpowiedzi znaleźć nie umiał, zadowalał się więc stwierdzeniem, że widocznie tak właśnie musiało być.



Od dwóch dni trzymał się śnieg i niemały mróz. Na Miodowej głuchy stukot okutych kół karet i kolas — chwilami trudny do zniesienia — stopniowo ustępował wesołym dźwiękom dzwoneczków przy uprzężach koni ciągnących sanie. Plama na ścianie znikła, zgasł też portret. Obszerny frontowy pokój pograżył się na chwilę w półcieniu rozświetlanym tylko migającą poświatą płonącego kominka. Tomasz zadzwonił dzwoneczkiem leżącym na sekretarzyku, zawsze w zasięgu ręki. Niepotrzebnie — w tej samej chwili wnieśli światło, dwa czteroświecowe lichtarze z gdańskiego srebra. Pan domu mógł więc powrócić do sprawy zajmującej go przez całe popołudnie, będącej zresztą finałem długich dyskusji w Dyrekcji Skarbu. Musiał ostatecznie rozstrzygnąć kwestię budzącą wiele wątpliwości jego samego i licznych współpracowników. Decyzję już podjął, ale nie mógł się zmusić, by umoczyć w kałamarzu leżącym na sekretarzyku pióro i kontrasygnować dekret króla Fryderyka Augusta o wprowadzeniu w Księstwie pieniądza papierowego. Pamiętał dobrze wahania sprzed niemal dwudziestu lat, kiedy to swym autorytetem podskarbiego powstrzymał podobny projekt, który miał zapewnić środki na wojnę roku 1792. W całym nieszczęściu tamtego czasu wyszło to na dobre. Emisja asygnat nie pomogłaby wiele przeciwko potędze wojsk Katarzyny (tak jak nie pomogła dwa lata później, kiedy Tomasza nie pytano już o zdanie), a wpędziłaby skarb i nieszczęsnego króla w dodatkowe tarapaty. Teraz było inaczej. Brak monety srebrnej, potrzeby wojska i pozyskanie przez rząd Księstwa dziesięciomilionowej pożyczki

z paryskiego domu bankowego Laffitte skłoniły go do poparcia ryzykownego projektu.

Wyciągnął rękę i poglądził po grzbiecie białego królika, siedzącego w dużym koszu przysuniętym do sekretarzyka i chrupiącego ostatnie w tym roku liście kapusty. Miękkie futerko i delikatne szpileczki wyładowań elektrycznych, które czuł na opuszkach palców, przynosiły pewną ulgę dłoni, zeszywniałej od czasu ataku apoplektycznego przed dwoma laty. Kurację zalecił mu doktor Giovanni Malfatti. Pacjent był mu za to wdzięczny, ale skądinąd — dlaczego młody i przystojny Włoch tak często nawiedza jego dom i tak długo przesiaduje w salonie? Tomasz nie miał w tej chwili czasu, by rozważać tę kwestię. Powoli sięgnął po pióro — było dobrze zaostrzone — strzepnął do kałamarza nadmiar atramentu i złożył na dokumencie kontrasygnatę, inicjał imienia „T” upodabniając do litery „J”. Charakter pisma miał czytelny, wyniesiony z jezuickiego konwiktu w Lublinie. Pisanie mimo wszystko sprawiało mu trudność i z przykrością patrzył na litery wyraźnie zdradzające drżenie ręki. Bez dalszych wahań przysunął arkusz, na którym w odpowiednio wykreślonych rubrykach widniały już podpisy pozostałych komisarzy skarbowych: przede wszystkim przyjaciela Marcina Badeniego, ale też Stanisława Ossolińskiego, Jana Nepomucena Małachowskiego i innych. Z pewnym wysiłkiem, starając się pokonać ograniczenia narzucone przez chorobę, złożył podpis w ostatniej pozostałej wolnej komórce. Przywołał sekretarza, wręczył mu plik dokumentów i nakazał odniesienie ich do biura Dyrekcji. W następnych dniach sztycharze mieli zająć się przeniesieniem komisarskich podpisów na gotowe już płyty drukarskie banknotów jedno- dwu- i pięciotalarowych. Na wszystkich znalazła się data 1 grudnia 1810 roku. Z bezwzględną dokładnością miano odtworzyć też podpis zdradzający chorobę starego komisarza.



Niemal w tej samej chwili przynieśli futro. Do pokoju wkroczyła cała procesja, którą otwierał Zuzio, od niedawna zwany Klatschem, który niezajęte niczym ręce włożył za szeroki pas zimowego chałatu z bobrowym kołnierzem. Za nim podążali dwaj młodzi czeladnicy, z namaszczeniem dźwigający monumentalnych rozmiarów produkt zamówienia złożonego jeszcze na wiosnę. Pochód zamykał syn Zuzia Hersz, trzymający opakowany w płótno przedmiot, przypominający odwrócone wiadro, ale nie zdradzający ani jego wagi, ani twardości. Królik, przestraszony wtargnięciem obcych, wyskoczył z kosza i czmychnął pod kanapę.

Tomasz znał Zuzia od niepamiętnych czasów. Kuśnierz miał naprawdę na imię Izaak, do którego dodawał — zależnie od okoliczności — miano Kobylaner lub Kobylański. Pozostało mu ono po ojcu, karczmarzu w Kobylanach pod Trembowłą, który dobrze zadbał o wykształcenie synów. Zuzio zdobył swój zawód w Trembowli i we Lwowie, a ostatecznie przez małżeństwo trafił do Warszawy. Jego brat Mosze, który został złotnikiem, dostał nawet zaszczytu uwiecznienia w formie łacińskiej inskrypcji — „infidelis Moise Kobylanensis” — na srebrnej sukience cudownego obrazu Matki Boskiej w kościele Dominikanów w Potoku Złotym. Zuziowi nie było jednak dane zachowanie odmiejscowego, niemal szlachecko brzmiącego miana — uniemożliwiły to regulacje administracji pruskiej w okupowanej Warszawie. W roku 1805 kuśnierz stanął przed obliczem Geheimrata Hoffmanna, którego zadaniem było uporządkowanie zaniedbanej dotąd ewidencji ludności izraelskiej w tak zwanych Prusach Południowych. Trzeba było zacząć od spisania, a zwykle od nadania, nazwisk rodowych tysięcy osób, które dotąd posługiwały się tylko zwyczajowymi przezwiskami. Geheimrat, przyszły sławny pisarz, znalazł w tej procedurze doskonałą okazję dla fantazyjnej twórczości, a jego sekretarze źródło niemałych dochodów. Zuzio trafił źle: Hoffmanna trapił pierwszy w życiu atak podagry. Nie było tego dnia mowy o tak cenionych przez klientów Goldbergach czy Rubinsteinach. Od rana sypały się takie koncepty jak Katzellenbogen czy Schweissgeruch, a w tym ostatnim przypadku wprowadzenie litery „w” było wynikiem błagań obdarzonego nim starozakonnego i wyraźnej aluzji, że pan sekretarz na tym nie straci. Poprzednik Zuzia, który wszedł do urzędowej izby jako Szmul Holszaner, opuścił ją jako Samuel Hosenduft, a nieśmiałe próby protestu skończyły się kopniakiem wymierzonym mu przez rośłego odźwiernego. Kiedy kuśnierz przedstawił się jako Kobylaner, a polski urzędnik przetłumaczył Geheimratowi znaczenie przezwiska, ten bez wahania Kazał zapisać Stutenschwanz i zamknął urządowanie, by udać się na obiad.

Zuzio doskonale zrozumiał urodę nowego nazwiska i nie miał zamiaru się z nim pogodzić. Wykorzystując nieobecność Hoffmanna, podjął długie targi z pozostałym w izbie sekretarzem. Kiedy trzeci z kolei talar zmienił właściciela, petent uzyskał pewną koncesję. Nazwisko wpisane ostatecznie do rejestru spełniało wszelkie cechy kompromisu: nawiązywało do dawnego miana, nie było zasadniczo sprzeczne z wersją Geheimrata, brzmiało z polską, ale w pisowni niemieckiej traciło ośmieszającą konotację. Zuzio miał się odtąd nazywać Izaak Klatsch. Jego syna już po kilku miesiącach wołano Klaczko.

Już od progu Tomaszowego salonu było widać, że Zuzia rozpieierało zadowolenie, wręcz duma. Oto po wielu miesiącach starań udało się mu zrealizować zamówienie trudne, niemal niemożliwe do wykonania: niedźwiedzie futro, mające osłonić jego klienta od chłodów coraz trudniejszych do zniesienia w jego wieku. Tomasz przywykł do takiego okrycia. Pierwsze sprawił sobie jeszcze — pamiętał dobrze tę datę — w roku 1767. Nowo wybrany król Stanisław August, niemal jego równoletek, był wówczas u początku drogi ku tworzeniu narzędzi umożliwiających realizację daleko siężnych planów. Szukał ludzi sprawnych i myślących podobnie jak on sam, których wyniesienie ze skromnej kondycji miało zapewnić ich wierność osobie królewskiej. Tomasz, nie wiedząc o tym, znalazł się w samym centrum tworzonego w ten sposób stronnictwa, a król Poniatowski zyskał w nim jednego z najsprawniejszych i najwierniejszych współpracowników. Z drugiej strony król, sam uważany za parweniusza i uparcie nazywany stolnikiem, musiał też dbać o stronników wśród wielkich rodów. W roku 1767, na początku zawieruchy radomskiej, której zaślepienia i głupoty Tomasz nigdy nie umiał zrozumieć, Poniatowski wezwał go do wielkiego gabinetu, pełnego obrazów, map, książek i papierów.

— Pojedziesz do Nieświeża. Trzeba nam się wywiedzieć, czy książę Karol przyjmie nasz order Świętego Stanisława. Wiem, co powiesz. Nosisz się po francusku, a tego w Nieświeżu nie lubią. Pojedziesz jako oficer. Jesteś pułkownikiem, na Nieśwież wystarczy, ale sprawisz sobie nowy mundur. Za trzy tygodnie chcę cię widzieć z powrotem — powiedział wręczając Tomaszowi rulon talarów.

Rad nierad Tomasz wykonał królewskie polecenie. Zamówił nowy mundur: czerwony frak ze złotymi obszyciami, nigdy niezapiwany, by odsłonić stalowy napierśnik — znak rycerskiej tradycji, w nowoczesnej epoce bez jakiegokolwiek znaczenia praktycznego.

Do tego trójkątny kapelusz, łosiowe spodnie, botforty i oczywiście szpada. Nie nosił peruki — długie, ciemne włosy wiązał z tyłu wstążką. Wszystko to razem nie miało nic wspólnego z polską tradycją, ale tak przybranego mężczyzny nikt nie mógł nazwać fircykiem. Podobnie nosili się przecież oficerowie wszystkich armii europejskich.



Tomasz wyruszył do Nieświeża konno, z jednym wozem i adiutantem, którego przebrał w swój stary mundur, odpruwszy wcześniej część ozdób fraka. Karola Radziwiłła w Nieświeżu nie zastał, burgrabia skierował go do niedalekiej Alby, gdzie książę bawił ze swym stałym towarzystwem. Albańczycy nie byli radzi przybyszowi ze stolicy. W ich odnoszeniu do gościa czuć było mieszaninę wyższości ludzi żyjących tęgim szlacheckim życiem, którego rytm wyznaczały polowania i ucztę, oraz zazdrości wobec eleganckiego dworzanina, przybywającego z wielkiego świata i widującego króla na co dzień. Gdzie mogli, starali się mu dopiec, trzymając się jednak nakazanego przez księcia decorum wobec królewskiego wysłannika. Szczególną okazją do facecji była obecność wśród albańczyków kapitana Tomasza Ostromeckiego, oficera dragonów radziwiłłowskich, zresztą człowieka otwartego i wesołego, którego Tomasz od razu polubił. Nie było mu jednak

w smak ciągle niby to nieświadome mylenie go z kapitanem Ostromęckim, czy to jeżeli chodziło o miejsca przy stole, czy o kolejność wznoszenia toastów. Z samym księciem Tomasz rozmawiał kilkakrotnie. Nie umiał znaleźć wspólnego języka z tym magnatem, nieco młodszym od niego samego, ale głęboko tkwiącym w oparach niegdysiejszego sarmatyzmu. Jasnej odpowiedzi nie uzyskał, w rzadkiej chwili trzeźwości „Panie Kochanku” obiecał do króla napisać, poza tym coś bełkotał o radziwiłłowskiej suwerenności i wyższości Litwy nad koroniarzami.

W czasie polowania, czwartego dnia po przyjeździe, Tomasza postawiono oczywiście obok książęcego kapitana. Ponieważ nie miał ze sobą strzelby, dano mu dwururkę z książęcej zbrojowni. Jeszcze nigdy nie miał w ręce takiej broni, choć była ona dziełem warszawskiego warsztatu Carla Wagnera. Lufy były ułożone jedna nad drugą, co ułatwiało celowanie. Każdy fragment strzelby pokrywały misterne grawerunki i złocenia. Pomimo tego bogactwa dekoracji znać było, że to nie zabawka. Złożył się raz i drugi, fuzja leżała mu doskonale. Kazał naładować kulami — w ostępie, dobrze osaczonym sieciami, był niedźwiedź. Tomasz był dobrym strzelcem, ale tak grubego zwierza nigdy nie spotkał. Stał na prawym skrzydle sieci, pod wyniosłą sosną. Oparte na obciętym w tym celu kikucie gałęzi lufy skierował w stronę, z której dochodziło wzmagające się ujadaniu psów. Z trudem przyznawał się przed sobą, że kolana mu miękły, a na plecach wciąż czuł mrowienie. Kiedy przyszło co do czego, nie miał nawet czasu pomyśleć. Niedźwiedź wypadł jak ogromna czarna kula z gęstych zarośli jakieś sto kroków od linii strzelców, dokładnie pomiędzy Tomaszem a stojącym po jego lewej stronie Ostromęckim. Po raz pierwszy strzelili niemal równocześnie. Niedźwiedź ryknął, wspiał się na tylne łapy i, zmieniając nieco kierunek, ruszył na kapitana. Ten spokojnie wymierzył po raz drugi, ale słaba iskra nie zdołała zapalić prochu na panewce. Tomasz strzelił, mierząc poniżej ucha. Zwierz zachwiał się i padł na oszczep podstawiony przez Ostromęckiego.

Polowanie było skończone. Strzelcy otoczyli obydwu Tomaszów, zawzięcie dyskutując, czyj jest niedźwiedź. Oczywiście każdy widział co innego i przedstawiał inną wersję wydarzeń trwających kilka sekund. Jeden z łowczych księcia Karola, Hreczyna czy Hreczecha — kto by to dziś pamiętał — zawzięcie perorował, że spór o pierwszeństwo może rozstrzygnąć tylko pojedynek strzelecki przez niedźwiedzią skórę. Tymczasem obydwaj bohaterowie stali, ciężko dysząc i nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Pierwszy

oprzytomniał kapitan. Podszedł do imiennika i serdecznie objął go za szyję.

— Pułkowniku, panie bracie, gdyby i twój zamek zawiódł, źle byłoby ze mną. Niedźwiedź twój!

Tomasz wzbraniał się, mówiąc o oszczepie kapitana. Sprawę przeciął książę Karol, ofiarowując niedźwiedzia gościowi z Warszawy i na miejscu dając kapitanowi awans na majora. Wszyscy byli zadowoleni, a wieczorem Tomasz z największym trudem obronił honor koroniarzski w zawodach w spełnianiu toastów. Piwnica księcia Karola była znakomita, ale jego kielichy z pewnością zbyt wielkie dla wyrafinowanego dworzanina.

W ten sposób Tomasz uzyskał skórę, w Warszawie już wówczas rzadkość, z której kazał uszyć obszerną szubę, podbitą zielonym suknem, zapinaną na węgierskie pętlce, podobną do księżej czamary, która w owych czasach zaczęła zyskiwać popularność także wśród świeckich. Strój był zbyt ciężki, by w nim chodzić na co dzień, ale okazał się nieoceniony do sań lub jako okrycie domowe w długie zimowe wieczory. Właściciel przywykł zresztą do myśli, że ta szuba należy mu się w sposób szczególny. Niedźwiedź był przecież herbowym zwierzęciem jego rodziny: czarny, kosmaty, ale w pewien sposób oswojony, dzięki czerwonej róży, którą trzymał w łapie.

Po latach szuba, choć już mocno znoszona, zrobiła niespodziewaną karierę. Kiedy Tomasz, zaproszony na posiedzenie Komisji Rządzącej Księstwa Warszawskiego, pojawił się w niej w Zamku, wzbudził powszechną zazdrość. Identyczne okrycia stały się wkrótce ważnym dodatkiem do wprowadzanych właśnie mundurów dla najwyższych urzędników Księstwa. Widzimy to na owalnym portrecie Stanisława Kostki Potockiego namalowanym przez Blanka dla Zamku. Portret Tomasza również miał się znaleźć w tej galerii, też w mundurze i w szubie. Ale to przyszłość, Bacciarelli namalował go (świetnie) już po jego śmierci i sam bliski końca własnego żywota. Na szubach dla ministrów się nie skończyło. Murat i sam Napoleon, przejeżdżający przez Warszawę w czasie zimowej kampanii 1807 roku, marzli niemiłosiernie. Usłudźni Polacy sprawili im podobne okrycia, ale krótsze, nadające się na konia. Obydwaj mają je na sobie na obrazie *Bitwy pod Iławą Pruską* pędzla barona Grosa. Murat lubił się zresztą malowniczo ubierać i podobały mu się polskie akcenty stroju. Chętnie nosił czerwona ulańską rogatywkę, którą nazywał, tak jak i inni Francuzi, „czapska”.



Teraz z intensywnie używanego albańskiego futra nie zostało już prawie nic. Zuzio, wezwany w celu wykonania nowego, wzbraniał się jak mógł. Tłumaczył, że w Księstwie nigdzie nie dostanie skóry, nawet dla jegomości pana kasztelana, jak wciąż tytułował swojego ulubionego klienta, twierdząc, że dla niego kasztelan i wojewoda to taki „echt pan, nie jak te modern grafy i barony” (Tomasz w duchu przyznawał mu rację, choć na jego pieczęci i srebrach od dwunastu lat figurowały dziewięciopalkowe korony). Wielokrotnie naciskany, Zuzio oświadczył w końcu, że „sze ułatwia”, i zamilkł na trzy miesiące. Teraz triumfalnie wkroczył do salonu ze zrealizowanym zamówieniem.

Czeladnicy Zuzia starannie rozłożyli futro na podłodze, gospodarz podniósł się z pewnym trudem z fotela. Szuba była dokładnie taka, jak dawna, ten sam krój, te same szamerunki, tylko futro puszczańskiego króla nieco jaśniejsze. Zuzio odczekał moment, by nasycić się wrażeniem, jakie wywarło jego dzieło, a następnie rozpoczął perorę.

— Jegomość Pan kasztelan, to jest echt gite Arbeit, dzisiaj już tak nikt nie robi. A skóra, skóra aż z Wilna przyjechała, zza kordonu. Oj, trudno było mojemu Herszowi paszporta otrzymać, a podróż daleka, niebezpieczna i droga.

W tym miejscu można się było spodziewać lamentu na temat nieopłacalności zamówienia i prób podbicia ceny. Ale nie

u Zuzia. Kuśnierz i jego klient znali się od dawna. Jeden wiedział, że cena będzie uczciwa, drugi — że należność zostanie zapłacona niezwłocznie i bez targów. Do ustalonej od dawna sumy więc już nie wracali. Ale Zuzio najwyraźniej nie skończył swej przemowy.

— Jegomość Panie kasztelan, droga do Wilna daleka, ale Herszowi opłaciło się, aj opłaciło się. Jaką narzeczoną on tam znalazł, jaką piękną, z jakiej pobożnej żydowskiej rodziny. Zaraz po Nowym Roku mój syn wyjeżdża do Wilna. Jaka piękna ta jego Taba Grünberg, jaki piękny będzie ślub, jaki piękny dom i udział w sukiennym interesie teścia. Ja, jegomość panie kasztelan, bardzo z tego rad i przyniosłem dla młodszego pana kasztelanica Bärmütze, piękną Bärmütze, taką jakiej teraz jegomość pan kasztelanica potrzebuje. To mój prezent za to, że Hersz taki szczęśliwy.

W ten sposób wyjaśniła się zawartość pakunku, który Hersz Klaczko wciąż trzymał w rękach. Tomasz wiedział, że Zuzio wie, że prezent nie zostanie przyjęty wprost i że szczęśliwe wydarzenie w rodzinie kuśnierza znajdzie odbicie w gratyfikacji znacznie przewyższającej wartość niedźwiedziej czapy, oczywiście wykonanej ze ścinków przywiezionej z Wilna skóry. Gospodarz podszedł do sekretarzyka, wydobyl z niego żelazną kasetkę, odliczył Zuziowi należność za futro, a Herszowi wręczył pięć złotych napoleonów z życzeniami szczęśliwego małżeństwa. Obydwaj Żydzi skłonili się głęboko.

W ten sposób zamknął się pewien etap dziejów niedźwiedziego futra. Tomasz nie mógł oczywiście wiedzieć, że będzie mu ono służyć przez pozostałe jeszcze siedem lat życia, a później, znacznie później, będzie grzać jego młodszego syna Władysława podczas długich pustych wieczorów trzydziestoletniego wygnania w Grazu, a nawet jeszcze po jego powrocie do Krakowa na kilka lat przed śmiercią. Trudno by mu zresztą było wyobrazić sobie potomka (który za chwilę w swym dwudziestoletnim wcieleniu wkroczy do salonu) jako człowieka starego, starego jak on sam.

Tym bardziej nie mógł Tomasz wyobrazić sobie skutków wyjazdu do Wilna Hersza Klaczki w celu założenia tam rodziny. Szczególnie nie mógł przewidzieć, że najmłodszy z synów Hersza, urodzony w roku 1825 Jehuda, który z czasem przybierze imię Julian, stanie się gwiazdą hebrajskiej poezji, polskiej publicystyki i krytyki artystycznej, a wreszcie francuskiego eseju historycznego. Jego historia także stanowi odnogę dziejów niedźwiedziego futra.

* * *

Do salonu weszli Vladimir i Ladislas. Ściślejszy, pierwszy z nich wszedł tak, jak powinien wchodzić do obcego domu dobrze wychowany młodzieniec, a więc z pewną rezerwą, na którą nakładała się kruchość i melancholia, brane jeszcze za wyraz jego szczególnej poetyckiej duszy, a które były już, niestety, symptomami drażącej go choroby. Ladislas natomiast wpadł do ojcowskiego salonu jak bomba i popędził wprost — musiał już coś usłyszeć od służby — ku pozostawionemu przez Hersza pakunkowi. Obydwaj młodzieńcy wyglądali wspaniale w mundurach artylerii konnej — ciemnozielonych, z czarnymi wyłogami oraz złotymi guzikami i potrzebami. Obydwaj zaledwie wyrosli z wieku chłopięcego, a przecież już doświadczeni żołnierze, oficerowie najbardziej nowoczesnej z ówczesnych broni, zasłużeni w zeszłorocznej wojnie z Austriakiem. Tomasz drżał wówczas o syna, ale rozpierała go duma, gdy dziewiętnastoletni Ladislas powrócił z bitwy raszyńskiej okryty chwałą obrońcy strategicznej grobli, ze złotym Krzyżem Wojskowym na piersi.



Tomasz nie umiał szczerze polubić Vladimira. Cenił jego służbę i hojne ofiary na rzecz armii, jego prawdziwą przyjaźń okazywaną synowi. A jednak... ile razy widział jego szczupłą sylwetkę

i piękną, niemal kobiecą twarz, nie mógł uwolnić się od wspomnienia jego ojca, Szczęsnego. Nigdy nie mógł zrozumieć tego człowieka, który miał wszystko, a mógł mieć jeszcze więcej. Kiedy chciał — uroczego i pełnego najpiękniejszych uczuć, otoczonego sławą romantycznej, zamkniętej tragedią miłości do Gertrudy, ale jednocześnie — bardziej z głupoty niż ze złej woli — zdrajcy i osobistego wroga Tomasza.

Przez głowę przemknęło mu też wspomnienie o innym arcy-zdrajcy, może dlatego, że niedawno rozmawiał o nim z Niemcewiczem. Oto, gdy Sejm roku 1775 uchwalił reformy wojskowe, którym ostro sprzeciwiał się Ksawery Branicki, król obarczył Tomasza zadaniem uzyskania od niego zaprzysiężenia nowego prawa. Pojechał do Branickiego, znał go od zawsze. Hetman, chwilowo osamotniony politycznie, zagrożony utratą buławy, był gotów przysięgać, cóż zresztą dla takiego przysięga. W domu bezbożnika nie było nawet krucyfiksu. Rozglądając się bezradnie po komnacie, Tomasz zauważył wielkie nożyce do papieru. Chwycił je, rozłożył na kształt krzyża i na taki znak Branicki zaprzysiągł wierność reformie wojska. Przysięgi nie dotrzymał, tak jak wszystkich innych.

Od tych judaszy, czasami może bardziej durniów niż świadomych zdrajców, Tomasz wołał już Rosjan. Często dzikich, nieokielżnanych, ale w jakiś sposób prostolinijnych, gotowych do szczerych, choć prymitywnych, odruchów. Choćby taki Suworow, rzeźnik Pragi w 1794 roku, który jakimś trafem znalazł się raz w Tomaszowym majątku Tetyjowie na bezkresnej Bracławszczyźnie. Było to zimą, feldmarszałek zażywał swoim zwyczajem kąpieli w przerębli wyrabanej w stawie. Kiedy doniesiono mu o obecności we dworze Tomasza, wyskoczył z wody, ledwo narzucił koszulę, do której przypiął jednak order, i boso popędził pozdrowić gospodarza, krzycząc: „Cześć temu co niezmiennik, co wierny Rzeczypospolicie minister!”. Jaką miarę przyłożyć do takiego człowieka? Kabotyń? Błazen? Szaleniec? Dziecko? A może wszystko na raz?

Tego wieczora głównym tematem nie były przykre wspomnienia, które zresztą Tomasz musiał zachować tylko dla siebie, ale bermyca. Nowy regulamin mundurowy armii Księstwa, wprowadzony przed rokiem, wiele spraw uprościł, ale niektóre skomplikował. Kirasjerzy z czternastego pułku Małachowskiego odetchnęli, odrzucając ciężkie pancerze. Zamiana ułańskich czapek na bermyce, zapewniające artylerii konnej nową tożsamość i prestiż, spowodowała jednak na oficerów młodej broni nie lada kłopot. W Księstwie nie było wielkich puszczy ani niedźwiedzi. Kanonierzy

i podoficerowie wyfasowali więc wielkie czapy z futra baraniego, ufundowane oczywiście przez Vladimira. Sam dowódca baterii sprowadził kawał niedźwiedziej skóry z nieogarnionych ukraińskich dóbr Potockich. Ladislas nie miał takich możliwości, a nie mógł przecież poprosić magnackiego przyjaciela i zwierzchnika o przysługę — tyleż drobną, co delikatną. Żałował, że ojciec właśnie pozbył się Tetyjowa, choć Tomasz zapewniał syna, że w tym rozległym kluczu, leżącym na samym południowo-wschodnim krańcu dawnej Rzeczypospolitej, w ogóle nie było lasów, a tym mniej niedźwiedzi. Ladislas przez kilka miesięcy używał więc dawnego czaka, ale sytuacja ta nie mogła trwać w nieskończoność i groziła karnym raportem, a nawet kilkoma dniami na stołecznym odwachu (które z pewnością zamieniono by — gdyby już do tego doszło — na areszt w ojcowskim domu przy Miodowej).

Dzisiaj problem rozwiązał się dzięki przemyślności Zuzia. Ladislas rzucił się na pakunek przyniesiony przez Hersza Klaczkę, najszybciej jak umiał rozwiązał pokrowiec, wcisnął czapę na głowę i podpiął pasek pokryty mosiężną, pozłacaną łuską. Zuzio doskonale wykonał swą pracę. Rozmiar bermycy pasował idealnie, wszystkie szczegóły wykonania były zgodne z drobiazgowymi wskazaniami regulaminu. Uszczęśliwiony kapitan pognął szukać lustra. Wyglądał świetnie, wiemy to dzięki pięknej litografii Ludwika Letronne. Brakowało mu może finezji i melancholijnego czaru Vladimira, ale nadrabiał to młodzieńczą szczerością i werwą. Bermycy miała mu służyć w kampanii lat 1812 i 1813, kiedy to, już po śmierci Vladimira, dowodził baterią, walcząc w Kurlandii, a pod Gdańskiem zdobył dla swej jednostki miano piekielnej. Pozostały mu z tych czasów dwie dziury od kul karabinowych, które przewierciły futro bermycy kilka cali nad jego głową, oraz krzyż Legii. Podziurawione nakrycie głowy towarzyszyło mu jeszcze, kiedy kilka lat później pozował panu Letronne, a nawet w czasie niektórych sesji sejmowych roku 1831, na których zdarzało mu się występować w mundurze sprzed dwudziestu lat. Musiał się z nią rozstać, tak jak z wieloma innymi pamiątkami, dopiero w strasznych dniach wrześniowych — kiedy ostatecznie upadły nadzieje rozbudzone w listopadową noc — u progu emigracji i trzydziestoletniego internowania. Ojcowskie futro uratowało się jednak z pogromu. Ktoś przesłał je do Krakowa, a w obrzydłym Grazu stanowiło prawdziwą pociechę i łącznik z dawnymi laty. Ladislas wystawił mu zresztą — nieświadomie — swoisty malarski pomnik. Do ciasnego mieszkania w Grazu zamówił serię niewielkich portretów rodzinnych, którą otwierała —

i wciąż otwiera — kopia wizerunku Tomasza namalowanego przez Antoniego Brodowskiego. Oczywiście jego pendant jest obrazek, na którym sam Ladislas jest niemal lustrzanym odbiciem podziwianego ojca. Obydwaj są w podobnym, mocno już podeszłym wieku, z długimi, zaczesanymi do tyłu włosami. Siedzą na takich samych fotelach (może jest to nawet ten sam fotel, który jakimś cudem zawędrował do Grazu), w identycznych mundurach obywatelskich, wprowadzonych w roku 1809 i nadal używanych w czasach Królestwa — granatowych, z pasowymi, haftowanymi srebrem kołnierzami i mankietami. Każdy nosi przysługujące mu ordery oraz swoisty, wyjątkowy atrybut: Tomasz księgę konstytucji Królestwa, a Ladislas łaskę marszałka sejmiku z lat 1830–1831, zwieńczoną srebrną figurką orla. Te symboliczne przedmioty na portretach ojca i syna przypominają, że to, co pierwszy budował, drugi już po piętnastu latach zniszczył, a te pozornie sprzeczne działania wynikały z tej samej konieczności służby ojczyźnie w sposób narzucony przez wymagania czasu. Portrety łączy jeszcze jedno: obydwa mężowie stanu nałożyli na mundur brązowe futro z ciemnozielonym pokryciem i węgierskim szamerunkiem, niewątpliwie to samo dzieło Zuzia Kobylańskiego czyli Izaaka Klatscha z roku 1810.



Tak więc albańskie futro niedźwiedzie w swych dwóch kolejnych wcieleniach służyło dwóm pokoleniom rodziny Tomasza

przez ponad sto lat. Wiele wskazuje, że jego strzępy ostatecznie znalazły się na śmietniku dopiero w roku 1962, po wywłaszczeniu przez władze PRL-u kamienicy Morsztynowskiej przy ulicy Stolarskiej w Krakowie, w której dożył swych dni stary (ale w roku 1810 jeszcze bardzo młody) Ladislas, jeden z ostatnich ludzkich pomników pięknego, ale nieszczęsnego powstania lat 1830–1831. Kłęb futra z resztkami zielonego sukna, pełen kurzu i molich kokonów, wyrzucony ze strychu przez robotników przygotowujących kamienicę do remontu, w niczym nie przypominał już senatorskiej szuby, a tym mniej okrycia króla litewskich puszc.

The Bear (A Literary-Historical Play)

[summary]

The text is a perverse melange of historical facts and fiction, immersed in Polish and European literary tradition. From the perspective of 1810, it shows a fragment of the history of two generations of a Polish family involved in political events stretching from the times of the last king of Poland (1764–1795), through the period of the Duchy of Warsaw (1807–1813) and the November Uprising (1830–1831), with the last episode dating as late as 1962. The axis of the narrative is built around the history of a bear fur coat, which has been used in the family for over a hundred years.